

# OPOWIADANIA Z KLUCZEM

POLSCY PISARZE DZIECIOM



## **Opowiadania z kluczem**

© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:  
Olga Reszelska

Korekta: Lidia Kowalczyk,  
Joanna Pijewska, Aleksandra Różanek

**Wydanie I**

**ISBN 978-83-7672-373-0**

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2015  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wyd-literatura.com.pl  
tel. (42) 630 23 81  
faks (42) 632 30 24  
www.wyd-literatura.com.pl

# Paweł Beręsewicz

## GDZIE JEST PRABABCIA?



– Był łomot czy nie było łomotu? – półprzytomnie powtarzał w myślach lord Mortimer, zastanawiając się, czy podnieść zaspane powieki.

Listopadowy deszcz szemrał złowieszczo w ołowianych rynnach, a wiatr znad wrzosowiska nie tracił nadziei, że po tylu wiekach uda mu się wreszcie zdmuchnąć szerniałe mury z dzikiego krajobrazu.

– Słyszałeś? – cicho spytała ciemność z drugiej strony łóżka.

– A ty słyszałaś?

– Chyba coś w gabinecie – szepnął wystraszony głos.

Lord Mortimer natychmiast oprzytomniał. Przez dwadzieścia lat małżeństwa nauczył się, że przecucia jego żony bywają

irytująco trafne. Usiadł na łóżku i wsłuchał się w mrok. Chrobot kołatka w drewnianym stropie, tykanie zegara i walące serce. Poza tym cisza.

– Zdawało nam się – mruknął i z ulgą opadł na poduszkę.

– Obojgu naraz? – nie ustępowała lady Cecilia. – A jak to włamywacz? Może lepiej sprawdzić.

Lord Mortimer jęknął na myśl o skazaniu choćby małego palca u nogi na chłód starego zamczyska, ale wiedział, że raz zasiany niepokój i tak nie da mu już zasnąć.

– No dobrze, pójdę – westchnął i wypełził spod ciepłej kołdry.

Bose stopy bezgłośnie stąpały po miękkim dywanie, naoliwione zawiasy nie miały prawa skrzypnąć, dopiero zimne deski w długim korytarzu co któryś krok leciutko trzaskały. W połowie drogi poczuł, że nie jest sam. Szara sylwetka żony jak cień sunęła tuż za nim.

– Ciii! – położył palec na ustach.

Zatrzymał się przy drzwiach gabinetu. Już miał otwierać, kiedy powstrzymało go lekkie szarpnięcie za rękaw piżamy. Lady Cecilia odsunęła go delikatnie i przytknęła ucho do grubych dębowych desek. Po chwili jednak cofnęła się bez słowa i zrobiła mu miejsce. Położył rękę na klamce, nacisnął i pchnął. Błady półmrok, zaróżowiony gasnącym kominkiem, wylał się na korytarz.

Ostrożnie weszli do środka. Pstryknęło cicho i elektryczne światło wyczarowało z ciemności ciężkie mahoniowe biurko, rzędy regałów zastawione oprawnymi w skórę tomami i kolekcję olejnych płócien w masywnych złożonych ramach. Włamywacza nie było. Na podłodze przed kominkiem leżała za to przewrócona dwuskrzydłowa suszarka z podeschniętym praniem, a wokół niej tu i ówdzie pojedyncza skarpetka lub majtki.

– Ja już nie mam do niej siły! – wycedziła przez zęby lady Cecilia i tupiąc gniewnie, wyszła z gabinetu.

Chwilę później na końcu korytarza łomotała ze złością w zamknięte drzwi służbówki. Mary otworzyła z pewnym opóźnieniem. Włosy miała w nieładzie, wzrok błędny, a twarz wykrzywioną powstrzymywanym ziewaniem.

– Słuaam, śnie pani – wybełkotała.

– Co to za hałasy w środku nocy? – spytała lady Cecilia.

Pokojówka wzruszyła ramionami.

– Jak śpię, to nie słyszę – mruknęła.

– No, no, tylko mi tu nie odszczekuj! – pogroziła palcem zirytowana pani domu. – A w ogóle to co to za pomysł wieszac pranie w gabinecie pana? I to jeszcze o takiej porze! A jak się coś przewróci, to podnieść trzeba! Czyste koszule na podłodze! Jak się pan potem ludziom pokaże?

Mary podsumowała tę listę pretensji imponującym ziewnięciem.

– U pana w gabinecie dobrze schnie, bo ciepło, a w reszcie domu ziąb – burknęła hardo. – Miałam zwinąć rano, zanim państwo wstaną. Co państwu za różnica, jak państwo nie wiedzą. A jak wieszałam wieczorem, to na podłodze nic nie leżało.

Lady Cecilia spojrzała na nią uważnie.

– Wieczorem wieszalaś? – spytała z namysłem. – A nie właśnie przed chwilą?





Wróciła do gabinetu mniej rozgniewana, ale za to bardziej zaniepokojona.

– Twierdzi, że od wieczora jej tu nie by... – zaczęła, ale urwała, bo w zachowaniu męża było coś dziwnego.

Siedział nieruchomo na brzegu biurka wpatrzony w jeden punkt, a za jego plecami przez uchylone okno sączył się wilgotny zapach listopadowej nocy.

– Co się stało? – spytała półgłosem.

Zamiast odpowiedzieć, powolnym ruchem głowy wskazał, gdzie ma patrzeć. Spojrzała i krew odpłynęła jej z twarzy. Przytulny kącik po lewej stronie kominka był pusty. Prababcia zniknęła.

Lady Rebecca, córka dwudziestego hrabiego Winstown, prababka lorda Mortimera, była piękną kobietą. Piękną i pełną energii. Żaden bal w okolicy, żadna gonitwa za lisem, żadna automobilowa eskapada nie mogły odbyć się bez jej udziału. Znane były rodzinne opowieści o tym, jak będąc jeszcze młodą pannienką, zsuwała się nocą po rynnie, żeby w męskim przebraniu, wbrew surowym zakazom ojca, wybrać się na kaczki z wesołą kompanią młodych oficerów. Potem ani wiek, ani zmartwienia, ani żadna ze światowych wojen nie były w stanie zgasić jej radości życia. Dlatego kiedy umarła, mając sto lat i dwa miesiące,

wszyscy uznali, że to stanowczo za wcześnie. Lady Cecilia знаła słynną krewną męża tylko z opowieści. Widok urny z jej prochami stojącej w gabinecie na niskiej półce przy kominku początkowo trochę ją peszył. Wkrótce jednak przywykła do tego drobnego rodzinnego dziwactwa i wydając instrukcje służbie, poufale przypominała o „odkurzeniu prababci”.

Tajemnicze nocne włamanie i zniknięcie leciwej seniorki bardzo zasmuciło lady Cęcię. Nie mówiąc już o tym, że śmiertelnie ją przeraziło. Wróciła wprawdzie do łóżka, wdzięczna mężowi, który zaoferował, że sam się wszystkim zajmie, ale i tak nie mogła już zasnąć. Po co ktoś miałby porywać bezbronną prababcie? – myślała. Kto mógłby mieć w tym interes? Okup? Szantaż? Ponure rodzinne sekrety? Jej bujna wyobraźnia miała zajęcie do rana, kiedy to wreszcie z miasteczka dotarła wezwana nocą policja.

Komisarz Miller, niestary jeszcze mężczyzna w wytartych dżinsach i mocno powyciąganym polarze, rozpoczął śledztwo od rozpakowania kanapki z szynką i majonezem.

– Nikt nic nie ruszał? – spytał z pełnymi ustami.

– Ruszałam szczotkę do zębów, grzebień, łyżeczkę, czajnik – sumiennie wyliczała pani domu. – A mąż filiżankę, moją rękę, latarkę, kłamkę w stróżówce i...

– A więc jest stróżówka – przerwał jej komisarz, wierzchem dłoni ścierając z wargi kapkę majonezu. – To może jest też stróż?

Pytanie to najwyraźniej trafiło w jakiś ukryty czuły punkt.

– No właśnie był! – z przejęciem powiedziała lady Cecilia. – Do wczoraj! Tylko że jakimś dziwnym trafem akurat tej nocy rozplynał się bez śladu.

Dozorca Fred nie należał do ulubieńców pani domu. Pracował zaledwie od miesiąca i od początku nie budził jej zaufania. Była

stanowczo przeciwna braniu go pod swój dach, ale jej mąż, lord Mortimer, jak zawsze zbył jej obawy pobłażliwym uśmiechem. Kiedy odkryli zniknięcie prababci, od razu próbowali go wezwać. Fred jednak zapadł się pod ziemię. Jego telefon milczał, a drzwi stróżówki były zamknięte na cztery spusty. Lady Cecilia nie potrafiła ukryć lekkiej satysfakcji.

Po skończonym posiłku komisarz Miller otrzepał okruszki uwięzłe w fałdach brązowego polaru i energicznie zabrał się do pracy.

– Pozwolą państwo, że moi ludzie zbadają teren – powiedział uprzejmie. – Ja natomiast, jeśli to możliwe, chciałbym obejrzeć miejsce zdarzenia.

Szerokimi schodami, pod baczny okiem dostojnych przodków na portretach, lord Mortimer poprowadził gościa na piętro, a następnie długim korytarzem do masywnych drzwi gabinetu. Komisarz stanął pośrodku pokoju i przez chwilę rozglądał się uważnie, zapisując spostrzeżenia w starym wysłużonym notesie. Ostygły kominek, porozrzucone pranie, pusta półka, jeszcze niedawno zajmowana przez prababcię, ciężkie biurko, kubek na długopisy, uchylone okno z powiewającą firanką – nic nie umknęło uwadze bystrego obserwatora.

– Czy będąc dzieckiem, kiedykolwiek połknął pan monetę jednofuntową? – zapytał znienacka.

Przez twarz lorda Mortimera przemknął cień niepokoju.

– Monetę jednofuntową? Nie, chyba nie. To ważne dla sprawy? Nie, na pewno nie połknąłem.

– Tak też myślałem – mruknął komisarz, mierząc rozmówcę badawczym spojrzeniem. – Czy pańska prababcia miała jakichś wrogów?



Zdezorientowany gospodarz chrząknął nerwowo i z trudem przełknął ślinę.

– Czy ja wiem – powiedział niepewnie. – Nie, nikt mi nie przychodzi do głowy. Chyba że... ale nie, to nie może mieć znaczenia.

– Muszę wiedzieć – nalegał detektyw.

Lord Mortimer zawahał się, ale w końcu powiedział z wyraźnym ociąganiem:

– Właśnie sobie uświadomiłem, że moja żona nie znosiła tej urny. Mówiła, że to obrzydliwe trzymać coś takiego w domu.

– Rozumiem – mruknął komisarz i zapisał coś w notesie.

Potem rozmowa zesłała na pokojówkę. Wyglądało na to, że to ona jako ostatnia widziała prababcie i Miller chciał się o dziewczynie jak najwięcej dowiedzieć.

– Nie zdziwiło pana, że pański gabinet służy za suszarnię? – spytał, kiedy usłyszał pełną relację z wypadków ostatniej nocy.

Lord Mortimer pogładził się po brodzie, co było u niego oznaką zmieszania, i przyznał, że nigdy wcześniej prania w gabinecie nie widział. Komisarz pokiwał głową i zanotował w myślach, że musi koniecznie wypytać pokojówkę.

W godzinach pracy Mary była miłą i uśmiechniętą młodą panią. Wezwana do gabinetu, dygnęła w progu i stanęła ze skromnie spuszczoną głową. W trakcie przesłuchania zeznała, że: „U lorda najlepiej schnie, bo w reszcie domu wilgoć i zimnica”.

– Państwo oszczędzają na ogrzewaniu – dodała. – Rozumie pan komisarz.

– Aż za dobrze rozumiem – gorzko uśmiechnął się Miller. – Czy wieczorem, wychodząc z gabinetu, zostawiła pani pranie na podłodze?